

PIOTR KOWALSKI – Z „NF” DO MARVELA

NOWA Fantastyka

01 (376) 2014 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



JUŻ W SPRZEDAŻY

PRZODKOWIE SMAUGA

KRASNOLUDY
I ICH BRODATE ŻONY

FANTASTYCZNY ŚWIAT
– MEKSYK

OPOWIADANIA:

NESTEROWICZ, GRAD,
SOBIECKA, McMULLEN,
SANFORD, KEHRLI

HOBBIT

PUSTKOWIE SMAUGA

W KINACH JUŻ OD 25 GRUDNIA

PRÓSZYŃSKI
MEDIA

ISSN 0867-132X



0.1
INDeks 358398



04



07

Oto krasnolud – obiekt drwin elfów, ale też podziwu miłośników nieco krwawszej odmiany fantasy. A jak wyglądał jego pierwowzór z dawnych wierzeń?

Dumne i niezwykle inteligentne, czy wielkie, bezmyślne bestie? Symbol wszelkiego zła, czy wielkiego szczęścia? Jakże są smoki, najważniejsze z fantastycznych stworów?



10



13

Realizm magiczny umiejscowił Amerykę Południową na literackiej mapie świata. A fantastyka? Jeżeli chodzi o Meksyk, jej rola wydaje się marginalna.

W roku 2000 dałem sobie dwadzieścia lat na wejście na rynek amerykański. Podzieliłem tę drogę na trzy etapy: własna seria w Polsce, własna seria na rynku frankofońskim, Ameryka.

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 ZASTRZYK PRZYSZŁOŚCI *Mateusz Wielgosz*
- 4 KRANSOLUDY I ICH BRODATE ŻONY *Artur Szrejter*
- 7 POTOMKOWIE SMAUGA *Andrzej Kaczmarczyk*
- 10 FANTASTYCZNY ŚWIAT – MEKSYK *Marek Grzywacz*
- 12 DOROSNAĆ DO DZIECIŃSTWA *Andrzej Kaczmarczyk*
- 13 Z „NOWEJ FANTASTYKI” DO MARVELA *Wywiad z Piotrem Kowalskim*
- 63 KOLEJNE PIWO DLA SZCZENIAKA W KOJCIE CZ.2 *Maciej Parowski*
- 65 GŁOWY Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 67 NIECNI DŻENTELMENI *Jerzy Rzymowski*
- 71 NAGRODY CZYTELNIKÓW „NF” 2013
- 72 PRZYCIEMNIANIE DARK FUTURE *Rafał Kosik*
- 73 SŁOWO NA „U” *Peter Watts*
- 78 JA, KANIBAL *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 RZEŹBIARZ BOGÓW *Piotr Nesterowicz*
- 24 JAK UNIKNAŁEM SŁUŻBY WOJSKOWEJ *Lucyna Grad*
- 35 O-BON MATSURI *Marta Sobiecka*

PROZA ZAGRANICZNA

- 40 ENIGMA *Sean McMullen*
- 50 PONIEDZIAKOWY MNICH *Jason Sanford*
- 59 WESPRZYJCIE MOJĄ ARMIEJĘ ROBOTÓW!!! *Keffy R.M. Kehrli*

RECENZJE

- 68 KSIĄŻKI 74 FILM 76 KOMIKS

The Hobbit: The Desolation of Smaug and The Hobbit, and the names of the characters, events, items and places therein, are trademarks of The Saul Zaentz Company d/b/a Middle-earth Enterprises under the license to New Line Productions, Inc.™ All Rights Reserved.



fot. J. Lubaś

ŚWIAT Z RECYKLINGU

Mam teorię, że jednym z wyznaczników bogactwa jest ilość wytwarzanych śmieci. Dobrobyt rozpuszcza ludzi. W bogatym społeczeństwie łatwiej o przedmioty jednorazowego użytku, uszkodzone rzeczy częściej się wyrzuca niż naprawia, łatwiej gonić za nowością. Człowiek mniej zamożny musi oszczędzać, mądrzej gospodarować posiadanymi dobrami i dbać o nie, aby wystarczały na dłużej. Człowiek żyjący w biedzie nie wyrzuca niczego, o ile może dla tego znaleźć jakiegokolwiek zastosowanie, choćby odległe od pierwotnego.

Znajduje to potwierdzenie w wielu dziedzinach. Siedem miliardów ludzi radośnie przerabia na śmieci środowisko i dostępne zasoby naturalne. W tym worku jednak zaczyna przesiadać dno, więc pojawiają się różne inicjatywy, żebyśmy nauczyli się żyć w świecie z odzysku – póki jest co odzyskiwać. W kulturze będę widać od dawna – i stąd właśnie bierze się twórczy recykling. Z powieści lub komiksu robi się film, film ma swój remake, prequela i sequele, a później przerabia się to wszystko na serial, żeby po dekadzie zacząć cyrk od nowa. W muzyce covery, sample i remiksy stały się codziennością.

Z tej biedy trzeba wyciągnąć naukę. Doceniajmy nowość i oryginalność, ale nie odrzucajmy klasyki pod zarzutem, że jest „przestarzała”. Szukajmy „źródeł alternatywnych” – niezbadanych terenów do twórczej eksploracji. Ale szanujmy także to, co zostało przetworzone na tyle umiejętnie, że niesie jakąś „odzyskaną” wartość. Bob Dylan jest wybitnym artystą, ale – wybaczenie tę herezję – chyba każdy, kto śpiewał covery jego utworów, robił to lepiej od niego. Arthur Conan Doyle stworzył Sherlocka Holmesa pod koniec XIX wieku, co nie znaczy, że Steven Moffat czy Guy Ritchie nie mogą tchnąć w tę postać nowego życia. A jak wypadł nowy „Battlestar Galactica” w porównaniu z tym z lat 70....

Przetwórzmy doświadczenia minionych lat tak, aby zbudowany na nich Nowy Rok okazał się możliwie najlepszy. Mam nadzieję, że spędzicie go z „Nową Fantastyką”.

Zapraszam do lektury!

Jerzy Rzymowski



W NASTĘPNYM NUMERZE:

Jarosław Urbaniuk
Nieistotna ofiara profesora Prysypkina
Jeffrey Ford
Naturalna historia jesieni

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 1/2014
OD 22 STYCZNIA



KRASNOLUDY I ICH BRODATE ŻONY

ARTUR SZREJTER

W ludowych opowieściach germańskich aż roi się od krasnoludopodobnych stworów. Są dbające o gospodarstwo skandynawskie duszki nissy, są ich anglosaskie odpowiedniki hoby, są złośliwe leśne puki, są niewidzialne niemieckie koboldy, są żyjące pod halucynogennymi grzybkami niderlandzkie kabutery, są niemogące żyć bez morskich przygód klabatery, są miłujące piwo bieresale, są przynoszące w zimie prezenty holla i berchty, są uwielbiające patroszyć podróżników skrzaty. Jest jeszcze wiele innych niskorosłych dzwoliągów, będących efektem końcowym długiego rozwoju wierzeń w małe istoty wywodzące się z podziemi. Pochodzą zaś od występujących w mitach krasnoludów „właściwych” – dwergów / twergów / dweorgów, czyli „karłów”.

Ale i z owymi karłami sprawa nie jest prosta, gdyż były niejednoznacznie opisywane. Z jednej strony w pieśniach i opowieściach skandynawskich oraz niemieckich podchodzono do nich z szacunkiem jako do zręcznych kowali, władców ognia oraz skarbów ziemi – i to ich oblicze stało się podstawą wizji J.R.R. Tolkiena. Z drugiej strony traktowano je z rezerwą, a nawet odrazą, widząc w nich pokraczne stwory mroku, unikające światła słonecznego, które zamieniało je w kamień. Tym tropem poszedł z kolei Robert Howard, tworząc zdegenerowaną rasę „robaków ziemi”.

Co sądzić o tak dwuznacznym obrazie krasnoludów? Który wątek jest starszy? Nie wiadomo. Dlatego można jedynie wysnuwać hipotezy na temat rozwoju wizerunku karłów-krasnoludów – najpierw w mitach,

a potem w demonologii i baśniach. Wiemy już, jak wyglądały ich ostateczne przekształcenia, ale nas tutaj będzie interesować „forma wyjściowa” i jej wpływ na fantasy.

BRUDNE DZIECI AKTU STWORZENIA

W początkach dziejów świata bogowie uformowali dwa pierwsze karły z mało przyjemnej brei – kości i krwi najstarszego z olbrzymów, Ymira. Te pierwsze krasnoludy ulepili z gliny resztę swoich pobratymców. Gлина to ziemia, zgodnie więc z tą symboliką mity przeznaczyły malcom podziemną siedzibę, **Svartalfheim** – Krainę Czarnych/Ciemnych Alfów. Krasnoludy określano **Czarnymi Alfami** dlatego, że pojmowano je jako nieudane i ciemne (w znaczeniu: „mroczne”, ale też „brudne od pracy kowalskiej”) kopie świetlistych Alfów. Wprawdzie wiadomo, że wśród karłów istnieli mędrcy, jak **Alwis** (jego imię znaczy Wszechwiedzący) czy znawca run **Dain**, ale bogowie mało poważali krasnoludy, a przypominali sobie o nich tylko wtedy, gdy potrzebowali wytworów ich jubilerskiej czy kowalskiej sztuki.

TWÓRCY SKARBÓW

Pewnego razu złośliwy bóg-olbrzym Loki został zmuszony do zadośćuczynienia Asom i Wanom za jeden ze swych okrutnych żartów. Zszedł więc do podziemi, gdzie nakłonił krasnoludy do sporządzenia cudownych darów dla bogów. Przedmioty te stały się atrybutami największych spośród niebian. Odyn dostał niechybiającą celu włócznię Gungnir oraz symbol bogactwa,

złotą bransoletę Draupnir. Walecznemu Thorowi przypadł młot Mjöllnir, którym rozbijał czerepy olbrzymów. Boginię Sif obdarowano złotymi włosami, ukazującymi jej moc jako pani pól. Władca płodności Frey otrzymał magię pomieścić wszystkich niebian statek Skidbladnir oraz przemierzającego się między światami wierzchowca – dzika Gullinburstiego.

W innych okolicznościach bogini miłości Freya wyłagała od krasnoludów z rodu Brisingów cudowny pas lub naszyjnik Brisingamen (w zamian spędziła noc z każdym ze złotników), sprawiając, że ziemskie kobiety pozostawały płodne. Także na prośbę bogów – zagrożonych przez potwora Fenrira – karły stworzyły składający się z rzeczy nieistniejących (jak oddech ryby, broda kobiety czy odgłos stąpania kota) sznur Gleipnir, którym niebianie mogli spętać krwiożerczą bestię. Dziełem krasnoludów był również rządzący skarbem Nibelungów pierścień o olbrzymiej mocy magicznej.

OD OLBRZYMÓW DO KARŁÓW

Ten skrócony przegląd wytworów rąk karłów może sugerować, że krasnoludy były nie tylko autorami najważniejszych symboli boskiej władzy, ale i same pierwotnie za ich pomocą mogły tę władzę sprawować. Czy jednak takie przypuszczenie ma sens, skoro karły wydają się mało istotnym elementem świata mitycznego? Ma sens, gdyż w tradycjach i skandynawskiej, i niemieckiej niejednokrotnie były utożsamiane z... podziemnymi olbrzymami. Te zaś,

Smok z filmu „Beowulf”



PRZODKOWIE SMAUGA

ANDRZEJ KACZMARCZYK

Kadr z filmu „Hobbit: Pustkowie Smauga”



DUMNE
I NIEZWYKLE
INTELIGENTNE,
CZY WIELKIE,
BEZMYŚLNE
BESTIE? SYMBOL
WSZELKIEGO ZŁA,
CZY WIELKIEGO
SZCZĘŚCIA?
JAKIE SĄ SMOKI,
NAJWAŻNIEJSZE
Z FANTASTYCZNYCH
STWORÓW?

Legendy o smokach towarzyszą ludzkości od tysięcy lat. Europejskie, strzegące bogactw smoki wywodzą się ze starożytnej Grecji – stugłowy **Ladon** pilnował na polecenie Hery złotych jabłek Hesperyd, podczas gdy **Pyton** strzegł wyroczni w Delfach, póki nie zgładził go Apollo. Smok był również strażnikiem słynnego Złotego Runa w Kolchidzie, skąd wykradł je Jazon. W II wieku n.e. filozof Artemidor z Efezu w dziele zatytułowanym „Oneirocritica”, w którym analizował sny, stwierdził, że ponieważ smoki żyją w miejscach, gdzie ukryte są skarby, sny o nich zwiastują bogactwo.

Chrześcijaństwo uczyniło ze smoka bestię jednoznacznie złą. W Apokalipsie św. Jana Szatan pod postacią smoka barwy ognia mającego siedem głów i dziesięć rogów staje na czele armii upadłych aniołów do walki z niebiańskimi zastępami prowadzonymi przez archanioła Michała. Oczywiście ponosi w tym starciu sromotną porażkę. Zwycięstwo

nad smokiem stało się symbolem tryumfu chrześcijaństwa nad siłami ciemności, co doskonale obrazuje legenda o świętym Jerzym, pogromcy smoka terroryzującego miasto Silene w północnej Afryce. Tak jak św. Jerzemu zawdzięczamy obraz bohatera rycerza-smokobójcy, tak zabitemu przez niego gadowi należy przypisać spopularyzowanie smoka-pożeracza dziewcz. Mieszkańcy miasta musieli składać mu je w ofierze, by ustrzec się gniewu potwora.

W Walii znana jest opowieść o walce czerwonego i białego smoka. W czasie starcia czerwony smok wydawał z siebie potworny wrzask, od którego ludzie tracili siły i rozum, kobiety roniły, a rośliny i zwierzęta umierały. W końcu smoki udało się uwięzić w jamie na wzgórzu Dinas Emrys, gdzie pozostały aż do czasu, gdy król Vortigern postanowił zbudować tam zamek. Walczące wciąż pod ziemią smoki rujnowały co noc wszystko, co wybudowano za dnia. Dopiero Merlin wytłumaczył przyczynę

zniszczeń Vortigernowi i nakazał uwolnić smoki. Oswobodzone, w końcu zakończyły pojedynek. Czerwony smok zgładził białego, co ma symbolizować zwycięstwo Walijszczyków nad Sasami. Dlatego czerwony smok widnieje na walijskiej fladze.

DWÓCH OJCÓW

Smaug profesora Tolkiena najwięcej zawdzięcza bezimiennemu **smokowi z „Beowulfa”** oraz **Fafnirowi z „Sagi o Volsungach”**. Wpływ „Beowulfa” i nordyckiej mitologii, a szczególnie Eddy Poetyckiej na twórczość Tolkiena jest nie do przecenienia. Co do samych smoków, Tolkien uważał te dwa wyżej wymienione za jedyne naprawdę liczące się w literaturze północnoeuropejskiej, o czym mówił w słynnym wykładzie „Beowulf: Potwory i Krytycy”.

Smok to nie pusty wymysł. Cokolwiek dało mu początek, fakt czy zmyślenie, smok w legendzie jest potężnym wytworem ludzkiej wyobraźni, bogatszym w znaczenie niż jego

FANTASTYCZNY ŚWIAT – MEKSYK

MAREK GRZYWACZ

REALIZM MAGICZNY
UMIEJSCOWIŁ AMERYKĘ
POŁUDNIOWĄ NA
LITERACKIEJ MAPIE
ŚWIATA.

A FANTASTYKA?
JEŻELI CHODZI O MEKSYK,
JEJ ROLA WYDAJE SIĘ
MARGINALNA.

Gdy przyjrzymy się dziejom prozy meksykańskiej, może się to wydać dziwne – fantastyka ujawniła się tam bardzo wcześnie. A że historia Meksyku do spokojnych nie należy, elementy fantastyczne pierwotnie służyły za otoczkę dla komentarzy polityczno-społecznych. Bazujące na pismach Voltaire'a „**Szyzygia i kwadratura Księżyca**” franciszkanina **Manuela Antonio Rivasa** z 1775 roku, nazywa się pierwszym tekstem SF wydanym w obu Amerykach. Opis podróży na Księżyc i żyjącej tam cywilizacji obcych wpisywał się w nurt krytyki hiszpańskiej opresyjności względem kolonii za pomocą oświeceniowych utopii. Z kolei w okresie stabilizującej się niepodległości ukazywały się radosne wizje przyszłości Meksyku – jak w gazetowym opowiadaniu „**Meksyk w roku 1970**” z 1884 roku, pełnym postępu, dobrobytu... i balonów.

ZWIERZĘCA REWOLUCJA

Powstanie proeuropejskiego Drugiego Cesarstwa Meksykańskiego (1864) przyniosło import dorobku wielkich pisarzy XIX-wiecznej fantastyki, który trwał i po jego upadku, nawet w czasach dyktatury Porfirio Diaza (od 1876) – w Meksyku zagościli i doczekali się naśladowców Verne, Wells czy Poe. Na początku XX wieku, naznaczonym Rewolucją Meksykańską, trwał bujny rozwój rodzimego SF. Za ojca gatunku można uznać sławnego poetę **Amado Nervo**. Obok liryki, Nervo zajmował się innymi pasjami, z których największą była astronomia – należał do specjalistycznego stowarzyszenia i pisał artykuły z tej dziedziny. Interesował się także fantastyką z Europy (choćby Wellsem), technologią, duchowością i jej związkami z nauką. Miał na koncie sporo opowiadań i poematów będących czystym SF, jak choćby „**Ostatnia Wojna**”. W tym tekście Nervo opisał przyszłe losy ludzkości – rozwój cywilizacyjny okupiony wojnami europejskich potęg, zakończonymi rewolucją... zwierząt rozwścieczonych stuleciami niewoli. Narratorem okazywał się jeden z ostatnich ludzi na Ziemi. Wkład Nervo w gatunek nie został zapomniany – gdy w roku 1992 powstała ogólnokrajowa nagroda za najlepsze opowiadanie SF, nazwano ją **Kalpa**, od tytułu jednego z poematów Amado.

W pierwszej połowie XX wieku powstało wiele powieści, które można uznać za klasyki. Począwszy od „**Eugenii**” **Eduardo Urzúa Rodrigueza**, ukazującej wizję futurystycznego społeczeństwa sterowanego rozmnażania, wolnej miłości oraz zaniku różnic między płciami, aż po „**Sędzia dolicza do dziewięciu**” **Diega Cañedo** (1942) – antynazistowską historię ataku Trzeciej Rzeszy na Meksyk, oraz dziwaczną opowieść

Rafaela Bernala pt. „**Na imię mu było śmierć**” o naukowcu, który poznał język komarów i dokonuje przewrotu w ich społeczności. Jednak pomimo wybitnych początków, SF nie przyjęło się dobrze w Meksyku.

NAGLE PROSPERITY

Tę małą popularność można tłumaczyć przede wszystkim sytuacją gospodarczą, która i dziś nie wpływa pozytywnie na tamtejsze czytelnictwo. Znaczna część populacji żyła w ubóstwie, co przekładało się na rozpowszechniony analfabetyzm. Wpływ na to miała również ekspansja z jednej strony realizmu magicznego, który odcisnął piętno na postrzeganiu i promowaniu literatury, a z drugiej amerykańskiej popkultury. Większość powojennych pism SF (także hiszpańskojęzycznych edycji popularnych w Stanach periodyków) publikowała wyłącznie tłumaczenia literatury z USA i Europy. Przeciętny czytelnik z fantastyką stykał się przez produkowany masowo (zwłaszcza od lat 60.) meksykański pulp: tanie powieści oraz komiksy określane terminem *historieta*, a potem także kino klasy B, jak kultowe filmy z ludowym herosem, za paśnikiem El Santo. Książeczki i komiksy, miłośnikom kiczu kojarzące się z niesamowitościami, barwnymi okładkami, nawet obecnie rządzą kulturą popularną.

„Poważna” fantastyka nieczęsto wychodziła poza środowisko entuzjastów. Na uboczu swojego dorobku uprawiało ją, najczęściej w postaci krótkich form, także kilku autorów głównonurtowych, jak **Carlos Fuentes**. Mimo to nie brakowało szerzej komentowanych powieści, jak choćby „**Meksykanie w kosmosie**” **Carlisa Olvera** – satyryczna space

Z NOWEJ FANTASTYKI DO MARVELA

WYWIAD Z PIOTREM KOWALSKIM

PIOTR KOWALSKI

(ur. 1973 r.) – polski grafik, rysownik komiksów, ilustrator. Obecnie ilustrator serii „Sex” Joe Caseya dla Image Comics oraz „Marvel Knights: Hulk” Joe Keatinga. W Polsce znany głównie z serii „Gail” i „Wydział Lincoln”. Debiutował na łamach „Nowej Fantastyki” w 1992 roku.



Michał Chudoliński: Twoja kariera nabiera rozpędu. Jak doszło do tego, że rysujesz perypetie Hulka?

Piotr Kowalski: W roku 2000 dałem sobie dwadzieścia lat na wejście na rynek amerykański. Podzieliłem tę drogę na trzy etapy: własna seria w Polsce, własna seria na rynku frankofońskim, Ameryka. Przejście z etapu pierwszego do drugiego było o wiele szybsze, niż się spodziewałem. Chociaż „Gail” nie prezentował się najlepiej, pojawiłem się na rynku frankofońskim już jako autor serii. To ważne dla wydawców europejskich: muszą wiedzieć, że dany autor jest w stanie pracować regularnie. Potem przyszedł okres pracy dla Le Lombard, Vents D'ouest oraz Castermana. Przez dwa lata wysyłałem swoje portfolio do wydawców amerykańskich. Im więcej albumów publikowałem w Europie, tym bardziej byli skłonni ze mną rozmawiać. Moim debiutem na rynku amerykańskim był „Malignant Man” dla Boom! Studios w 2011 roku. Rysunkami do tej miniserii zainteresował się Joe Casey i tak powstał „Sex”, który okazał się wielkim sukcesem

w Ameryce i w Wielkiej Brytanii. To z kolei sprawiło, że zainteresował się mną Marvel.

MCh: Opowiedz coś o historii, nad którą pracujesz w ramach imprintu „Marvel Knights”.

PK: Z racji polityki wydawnictwa mogę tylko ogólnie powiedzieć, że Bruce Banner znajdzie się w Paryżu, z niezłym mętlikiem w głowie. Pojawi się też kilka innych postaci z uniwersum Marvela.

MCh: Oprócz Marvela, rysujesz dla Image Comics serię „Sex”. Jak doszło do tego, że otrzymałeś propozycję współpracy z Caseyem? Jaki jest koncept komiksu?

PK: „Sex” silnie nawiązuje do estetyki komiksów lat 80. ubiegłego wieku. W recenzjach przywoływana jest seria „Strażnicy” jako zbliżone podejście do problemu, czy i jak „emerytowany” superbohater jest w stanie powrócić do poprzedniego życia. Mam wielkie pole do własnej interpretacji scenariusza – stosuję kilka stylów, starając się jednak utrzymać jednolitość rysun-

ku. To seria bardzo europejska, zarówno pod względem podejścia do scenariusza, jak i rysunku, kadrowania, kompozycji. Z kolei kolor jest bardzo amerykański. Brad Simpson stosuje chwyt typowy dla komiksów z lat 60. XX wieku, bardzo impresjonistyczne, nawet fowistyczne podejście do koloru. W efekcie powstało coś, co niewątpliwie odróżnia się od stylistyki przeważającej na rynku amerykańskim.

MCh: Na ile styl i ton „Sexu” wynikają ze współczesności? Erotyka i pornografia powszedniejszą, stają się coraz łatwiej dostępne...

PK: „Sex” nie jest serią erotyczną ani pornograficzną. Zadaniem kadrów, na których przedstawiamy sytuacje erotyczne, nie jest wywoływanie podniecenia. Są częścią naturalnego środowiska otaczającego bohatera. Simon jako superbohater zwalczał świat przestępczy. Po powrocie do „normalnego” życia zauważa, że w tym świecie bronią nie jest pistolet, ale właśnie seks. W naszej serii seks niemal za każdym razem kojarzony jest z bólem lub z przestępstwem.



RZEŹBIARZ BOGÓW

PIOTR NESTEROWICZ

1.

Mrok był tak gęsty, że kleił się do skóry niczym wilgotne powietrze w parne dni. Nikt w wiosce nie został w domu. Wszyscy zgromadzili się na polanie, tam, gdzie zaczynały się pola ryżu. Rodziny, dziadkowie, wujkowie i ciotki rozsiedli się na trawie. Koło matek stały kosze z zawiniętymi w koce niemowlakami. Dzieci wierzili się przy nogach rodziców. Wszyscy patrzyli na skraj polany.

Tam, nieopodal niewielkiej świątyni, stał namiot. Był wysoki, prostokątny, z jedną ścianą otwartą na wieśniaków. Po obu stronach płonęły ogniska, w trawie stały lampki.

Bum, bum! Dźwięk bębna przerwał ciszę. Wieśniacy drgnęli, dzieciaki poruszyły się podekscytowane. Na ten moment czekali. *Bum, bum, bum!* Dźwięk narastał. Już nie jeden, ale dwa, trzy, pięć bębnow dudniło. Rytm był głośniejszy, żywszy, coraz szybszy. Ciała bębniarzy majaczyły w głębi namiotu. *Bum, bum, bum, bum!* Rytm przenikał siedzących, wypełniał polanę, sięgał po szczyty otaczających ją palm.

Na trawie pojawiła się postać. Zawirowała w świetle lampek. Mężczyzna miał na sobie tylko przepaskę biodrową. W jednej dłoni dzierzył groźnie wyglądającą maczugę, a w drugiej kwiat lotosu. Całą skórę pomalował na niebiesko, z wyjątkiem twarzy. Ją pokrywała biała maska w kształcie pyska lwa, z otoczonymi czarnymi obwódkami otworami na oczy i z krwistoczerwonymi policzkami. Bransoletki na przegubach mężczyzny zagrzecotały.

Podązał za rytmem bębnow. Wyginał się, wirował, krążył przed namiotem. Wieśniacy nie odrywali wzroku od jego gwałtownych gestów, nagłych podskoków i przysiadów. Ruchy tancerza raz wyrażały niepewność, potem strach i przerażenie, by nagle zamienić się w błogość. Ta nie trwała długo, natychmiast przerywało ją uniesienie.

– Naraszina przybędzie! – krzyknął ktoś w głębi namiotu. – Bóg zaraz będzie z nami!

Widzowie zastygli w oczekiwaniu. Tancerz szarpał się i drżał, pot pokrywał całe ciało. Bębny dudniły bez przerwy, wybijając rytm dużo szybszy niż tętno pulsujące w skroniach zapatrzonych wieśniaków.

– Naraszina przybywa! Nie bójcie się ciemności! Nie bójcie się demonów! Naraszina przybywa! – krzyk narastał.

Tancerz poruszał się jak oszalały. Wił się, wyciągał w górę i łamał wół. Usta miał otwarte, na białą maskę wyciekała ślina. Wytrzeszczał oczy, tylko białka lśniły w czarnych obwódkach maski.

– Naraszina! Naraszina! Naraszina! – głos wołał bez wytchnienia.

Mężczyzna rozpostarł ramiona, wyprężył się, głową prawie dotykał pleców. Był gotów.

– Nara... – głos wzywający boga zaciął się w połowie słowa.

Bębny umilkły. Ciało tancerza zwiotczało. Zachwiał się, pochylił, drżące kolana nie utrzymały tułowia. Bezgłośnie padł na twarz.

– Ach! – Wieśniacy poruszyli się po raz pierwszy od kiedy rozbrzmiały bębny. – Co to?! Co się stało?! – Mężczyźni zerwali się na nogi. Kobiety szlochały. Przyciągały do siebie dzieci, które wystraszone patrzyły na rodziców. – Gdzie jest Naraszina?! – Gło-

śne pytanie przebiło się przez chaos, który wybuchł na polanie.

Tancerz leżał twarzą w trawie, jego plecy drżały, nogi poruszały się konwulsyjnie. Z namiotu wybiegł mistrz ceremonii. Rzucił na ziemię tubę, przez którą wykrzykiwał imię boga. Ukląkł obok tancerza i ostrożnie przewrócił go na plecy. Ściągnął lwia maskę. Twarz mężczyzny była szara ze zmęczenia, oczy zamglone, ale przytomne.

– Mistrzu. – Obok klęczącego stanął naczelnik wioski. – Mistrzu, co się stało?

Naczelnik zadrżał, kiedy w jego oczach zobaczył przerażenie.

– Boję się... – wydusił z siebie mistrz. – Boję się, że bóg nie przybył.

Teraz nawet niemowlęta na polanie wstrzymały oddech.

– Jak to nie przybył? Przecież zawsze przybywa, wciela się w tancerza... – Naczelnik nie mógł zrozumieć.

– Tak było zawsze. – Mistrz skinął głową. – Ale w nim nie ma boga. – Tancerz odzyskał przytomność. – Naraszina nie przybył...

– Nie ma boga? – szepnął któryś z widzów.

Huk poderwał na nogi mistrza ceremonii, ścisnął serce naczelnika i przeraził wszystkich na polanie. Mężczyźni rozglądali się panicznie, kobiety tuliły dzieci, które głośno płakały.

– Tam. – Naczelnik dostrzegł go pierwszy. U stóp wioskowej świątyni leżał posąg. Jeszcze przed chwilą stał na postumencie. To on ciężko runął na ziemię. Kamienne oblicze spoglądało w górę, w czarne niebo.

Naczelnik drżącym krokiem podszedł do rzeźby i spojrzał na jej twarz. Kamienne oczy były puste. Boga nie było.

– Bogowie odeszli... – westchnął jeden z wieśniaków.

2.

– Z drogi, śmieciu! – Firangi prawie upadł. Odwrócił się zirytowany. Gniewne słowa uwięzły mu w gardle. – Jak śmiałeś nie ustąpić drogi Najarowi?! – Przed nim stał Namubiri.

Firangi nie zauważył młodego mężczyzny, który siedział środkiem ulicy. Nie odsunął się na czas, jak każdy Pulaj, który nie mógł stać blisko człowieka z wyższej kasty.

– Za taką zniewagę karano śmiercią – warknął Namubiri. Dłoń zacisnęła na rękojeści miecza. Firangi zadrżał. – Król Cziolów nie powinien pozwalać na taką bezczelność.

– Przepraszam cię, panie. – Firangi skłonił się nisko.

Z trudem przełknął upokorzenie. Znał Namubiriego, który mieszkał niedaleko warsztatu, w którym pracował. Najar był w jego wieku, jego rodzina nie należała do zamożnych, ale kastowe pochodzenie decydowało o wszystkim. Rzeczywiście mógł ściąć Firangowi głowę, tu, na ulicy Szamilaj.

– Masz szczęście, że się śpieszę – burknął Namubiri, zadowolony z pokornej postawy młodzieńca. – Następnym razem nie będę tak łaskawy.

Firangi wyprostował się, gdy kroki tamtego ucichły za zakrętem. Odetchnął głęboko. Kiedy ruszył, już uważniej przyglądał się przechodniom. Przeciał drogę procesyjną. Był tak zdenerwo-

JAK UNIKNAŁEM SŁUŻBY WOJSKOWEJ

LUCYNA GRAD

Cała ta historia, panie Sabasznikow, poczęła się płatać sylwestrowej nocy, w chwili, gdy pies wytrącił ołówek z oficerskiej dłoni i lejtnant Janow uniósł znad mapy poirytowany wzrok.

Ze wstrętem zmarszczył brwi, nosem pokręcił.

– Ależ, Fjodorze, jak ty wyglądasz! Jerzewski, weź no wyczyść tego psa! – zawołał w te słowa albo jakieś podobne, tonem nadętym od podtekstu: ty koźle ofiarny, który akurat przechodzisz obok mego namiotu, zajmij się czymś pożyteczniejszym, bo choć wiem, że jesteś na warcie, z pewnością śmiertelnie się tam nudzisz, ja zaś – nie dość, że po nocy, to w dodatku ciężko! – pracuję i gotowym zniszczyć ci życie, jeśli zaraz nie zabierzesz stąd tej ubłoconej kupy szerści, której przykrzy się bardziej jeszcze niż tobie!

Czytałem już z Janowa jak jęcza z kart.

– Tak jest! – Zasalutowałem.

Tak, to był sylwester. Pamiętam dokładnie: żołdaci dawno już złożyli broń, powyciągali z juków specjalnie na tę okazję taszczone butelki i świętowali w namiotach ogrzanych żarem. Ja jeden, nie licząc rzecz jasna pracoholika Janowa, nie bawiłem się tej nocy – wylosowałem wartę. Cóż robić! Wyrzebawszy stosowne narzędzia tortur, chwyciłem Fjodora za obrożę i posmutniałego wyprowadziłem wprost w turkiestański mrok.

Tak właśnie, Turkiestan!

Proszę sobie wyobrazić dłoń, panie Sabasznikow: palec wskazujący i kciuk, pomiędzy którymi wije się gąsienica. Założmy, że palcem jest Cesarstwo Rosyjskie, a kciukiem Brytyjskie Indje. Pośrodku ciągnie się wąski pas ziemi niczyjej, którą przebiega szlak. Nie bez powodu przyrównuję go do gąsienicy; ustrojstwo skręca się i miota niczem robak, co znienacka zmyka spod stóp wędrowca. Wszędzie dzicz, góry, których nie ma na mapie.

Tak przynajmniej stwierdził lejtnant Janow, przytargawszy ze sztabu starą jakąś i ledwie czytelną.

– To ci osły i partacze! Góra przede mną jak wół, a tu – pacal papier wierzchem dłoni – jej nie ma! Mało tego, nie ma nawet miejsca, gdzie mógłbym ją wcisnąć!

Kreślił zatem, mazał, mierzył, przenosił i nanosił. Jako człowiek z ambicją robienia pięć razy więcej od przeciętnego oficera wiódł nas w sam środek nędzy i rozpacz – w zimie wyglądał tak cały Turkiestan – i bynajmniej nie zamierzał na tem poprzestać. Ochotników czemuś mu brakło, zesłaniec natomiast zesłańcem poganiał.

Tylko ja, panie Sabasznikow, pośród tych wszystkich krętaczy i złodziei byłem naprawdę niewinny.

Bo skąd się wziął w mieszkaniu mym *Kordian*, zaklinam się, nie wiem – musiał go zostawić poprzedni lokator. Trwał jeden z wieczorów, kiedy to warszawska Praga przysypia w deszczu, a że akurat nie miałem pod ręką niczego innego, sięgnąłem po tę nieszczęsną książkę. I co? Moja to wina, że się lampa zapaliła? Ogień raz-dwa przeskoczył na storę i pokój spowiła chmura czarnego dymu. Każdy na mem miejscu postąpiłby podobnie: otworzył okno, zerwał płonącą płachtę i cisnął ją za framugę.

Ale nie każdy trafiłby w oficera lejbgwardji, to prawda.

Dość, że płonąca płachta oblekła go niby całun... i oto jestem! Czy przedstawiłem się już? Szeregowy Michał Jerzewski z karnego batalionu piechoty turkiestańskich wojsk linjowych w służbie miłościwie nam panującego cara Aleksandra! Plugawy dywersant, zakała społeczeństwa, polityczny zesłaniec – to ja właśnie! Czemu? Cóż, przed „zamachem” rzuciłem *Kordiana* na stół. Otworzył się na stronie, gdzie bohater snuje plany zabójstwa cesarza, i tak leżał do czasu, aż go podniósł prowadzący śledztwo oficer.

– Już ja ci załatwię Mont Blanc, łachmyto – groził. – Już ja cię urządzę!

I urządził, panie Sabasznikow, o tak, urządził! Mont Blanc to pagórek wobec szczytów Turkiestanu.

Wygarnąłem nawiany śnieg ze stanowiska i objąłem wartę, po czym zatopiłem grzebień w skołtunionej szerści Fjodora. Był chartem górskim, dumą lejtnanta. Pan wie, jak wygląda taki chart? Zdawać by się mogło – same kudły! Uszyska długaśne, pysk dziwaczny, smutno uśmiechnięty, ot, wielka maskotka. I weź to teraz wyczesz! Z każdym ruchem mej ręki ładowały na ziemi badyle i grudy błotniste, które przez cały dzień Fjodor skwapliwie zbierał. Dziwne to było zwierzę – robiło, co mogło, by upodobnić się do pospolitego Burka.

Długom go zresztą nie poczesał.

– Ejże, dokąd! – krzyknąłem, ale już pobiegł w dół stoku.

Usłyszałem jego szczekanie, a wkrótce i czyjś głos uspokajający psisko. Obcy głos, sięgnąłem więc po karabin. Filigranowa sylwetka wołającego zaczerniła się na tle śnieżnej góry i pomachała ręką w mój kierunek.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – usłyszałem. Dzieciuch jakiś to był, sądząc po głosie.

Za nim człapało powleczone skórą rusztowanie z kości, w przybliżeniu odpowiadające kształtowi kucyka z umocowaną na grzbiecie dziwaczną uprzężą na juki. Chore zwierzę, parszywe, lyse tu i tam. Żal patrzeć.

Fjodor popisywał się, płaszając radośnie – taki stróż z niego! – pókim znów nie zatopił grzebienia w jego kudłach. Nieznajomemu posłałem ciężkie spojrzenie.

– Szczęśliwego, co? Marne szanse! Do szczęścia dochodzi się małymi kroczkami, a od mego mieszkania w Warszawie, które z tem wzniosłem uczuciem utożsamiam, dzielą mię w tej chwili tysiące kilometrów. – A zły wtedy byłem, panie Sabasznikow, jak rzadko kiedy. Z życzeniami mi tu będzie wyjeżdżał, chłystek. Wygnanie, mróz, a ten mi życzy... ech! – Da Bóg, szczęśliwy będę w niebie. Jedyne, czego pragnę, to wynieść się stąd!

– Oho, to nic trudnego! Dla mnie drobiazg. Mogę spełnić pańskie życzenie, ale tylko pod warunkiem, że mi pan pomoże – jakoś tak to powiedział, w każdym razie podobnie.

Zaciąłem usta i szarpnąłem Fjodora, aż zaskomlał. No bo co niby, na zdrowy biorąc rozum, ten gówniarz mógł zaradzić

O-BON MATSURI

MARTA SOBIECKA

pojazdu nieznośnie zgrzytają, z trudem obracają się na nierównej powierzchni. Chlust! Coś uderza z siłą w baldachim. Ktoś wykrzykuje obelgi. Rikszarz grozi pięścią. Tao kuli się pod okapem. Pojazd wjeżdża w wyjątkowo wąską alejkę, zazwyczaj zablokowaną przez różnego rodzaju towary. O dziwo, dziś jest pusta.

Mieszkający tutaj handlarze bez skrupowania wystawiają towar bezpośrednio przed domem, blokując sporą część uliczki. Kupcy traktują ją jak swoją własność, z której skrupulatnie korzystają. Władze walczą z tym zjawiskiem, osiągając mierne efekty. Budynki, na co dzień ginące pod stosami skrzyń, pak i rzuconych bezładnie towarów, dziś dumnie prezentują drewniane i kamienne ściany. Widok jest niecodzienny. Tao nie ma jednak czasu podziwiać, riksza pędzi dalej.

Wjeżdża w tłum i zwalnia. Tao wciska się w pojazd, chowa się za baldachimem. Choć przejażdżka omnibusem byłaby znacznie tańsza i wygodniejsza, nie chce narażać się na docinki. Ludzie patrzą nieprzychylnie na kobiety przemierzające miasto w pojedynkę. Dociera na dworzec. Rozluźnia się. Tu już nikt jej nie zaczepi.

Próbuje ogarnąć wzrokiem niesamowity tłum ludzi. Widzi złączone w uściskach pary, starców, samotne kobiety. Słomkowe kapelusze, getry i słomiane sandały oddzielają ją od pociągu. Wszyscy chcą wydostać się z miasta. Dziś rozpoczęło się O-bon, trwające cztery dni święto, na czas którego prawie każdy ma wolne od pracy. Tao wkracza w wielobarwny tłum. Nie obawia się, że nie zmieści się do pociągu. Na peronie panuje spokój. Ludzie pomagają sobie. Ktoś wnosi bagaż starszej pani...

Gromada dzieci ubrana w odświętne kimono otacza pieniek. Płaszą wokół, dzieląc się z Tao radością. O-bon jest świętem lubianym przez nie szczególnie. Całymi dniami przygotowują się do matsuri, ćwicząc tańce i śpiewy pod okiem opiekunów, którzy nie czynią tego z obowiązku, lecz pełnią rolę widzów, dodając powagi próbom. Dzieci są dziećmi, nie przekroczyły wieku, który postawi je na równi z dorosłymi, czyniąc wrażliwymi na napomnienia i kary. Korowód rusza dalej, pozostawiając Tao samą sobie.

Pociąg opuszcza tę znużoną działalnością ludzką krainę. Krajobraz powoli uwalnia się spod miejskiego jarzma. Z początku w delikatnym maniście odstania gaje morwowe, sady wiśni i jabłoni, by wreszcie zerwać pęta i zademonstrować w pełnej krasie rozciągającą się aż po horyzont, nieskrępowaną niczym zielenią. Lokomotywa ciągnąca masywny korpus pluje w niebo dymem, brudząc błękit nieba. Żelazna bestia nagle przestaje pasować do otaczającej scenerii. Zmienia się w intruza.

Siedząc w jednym z wagonów, Tao ma wrażenie, że znalazła się w brzuchu olbrzymiego smoka. Monstrum pędzi, jakby świadome tego, że nikt nie jest w stanie go zatrzymać. Gdy miasto

zostaje w tyle, Tao czuje wdzięczność do tego hałaśliwego gada, że ją stamtąd wyrwał. W przedziale panuje radosny nastrój. Pasażerowie śpiewają, racząc się obficie sake.

Tao dosiadła się do podróżującej samotnie dziewczyny. Ma na imię Meji. Jedzie tam, gdzie ona. Na prowincję. Opowiada Tao o swoim miasteczku. O staruszcze mieszkającej na uboczu, u której z pewnością będzie mogła się zatrzymać. Gdy wysiadają z pociągu, ściągają buty. Tę czynność, która w mieście naraziłaby ich na śmieszność, z radością naśladują inni pasażerowie. Tao uśmiecha się i razem z Meji rusza boso w stronę miasteczka. Jest w domu.

– Tao! – Głos pani Yoko przebija się przez dźwięki muzyki. Staruszka podchodzi do pnia. Tao ustępuje miejsca. Czarka z sake przechodzi z rąk do rąk. Piją przez jakiś czas, nic nie mówiąc.

– Patrzysz jak niegdyś twoja matka.

– Skąd wiesz?

– Każdy, kto przyjeżdża z miasta, patrzy w ten sposób.

– Tu nawet drzewa snują swoje opowieści.

– Drzewa zawsze szumią. Zawsze coś opowiadają.

– Przestają, gdy nie ma komu słuchać. – Tao przygasa.

Jej rodzinne miasto padło ofiarą rozwoju. Skostniałe społeczeństwo obsesyjnie próbowało modernizować istniejący od lat stan rzeczy. Okoliczności sprzyjały. Bez wyraźnego zrozumienia powtarzano magiczne słowo „Zachód”; wciąż próbowano nowego, a skutki owych zmian szczególnie wyraźnie widoczne były na zewnątrz.

Krajobraz, niczym plastelinę, zgmatano i rozciągano, a bez wizji finalnego kształtu skończyło się na tym, że wzdłuż rzek i w cichych dolinach wyrosły kominy fabryczne; małe, spokojne miasteczka jedna po drugiej przemieniły się w hałaśliwe, przemysłowe miasta. Domy stawiano seryjnie, korzystając z każdego dostępnego budulca. Kamienne, gipsowe i ceglane bryły wkomponowały się w drewniany krajobraz, czyniąc zeń pozbawiony finezji przekładaniec. Niebo pociemniało od fabrycznych wydzielin. Miejsce ciszy zajął zgiełk, będący odąd wizytówką każdego miasta.

Inaczej było tutaj. Tao od razu zakochała się w tym małym portowym miasteczku, przesiąkniętym gwarem i ożywieniem, dalekim od wielkomiejskiego tłoku i przepychu.

Tao wdycha. Chciałaby tu zostać.

– Twój ojciec był naszym najlepszym wioślarem. Nie miał sobie równych. Co roku brał udział w zawodach i zawsze wygrywał. Wierzyliśmy, że zaskarbił sobie względy kami słońca.

Tao uśmiecha się. Jej serce przepelnia duma.

– Wiesz, jak zginął?

Spuszcza wzrok zawstydzona. Nie wie.

– Wyłynął łodzią, wraz z innymi. To miał być dobry połów. Nikt nie wrócił żywy. Rozbili się o przybrzeżne skały. A może utopił ich Umi bozu. Kto to wie?

ENIGMA

(Enigma)

SEAN MCMULLEN

W isząca pod nami Enigma przypominała olbrzymi ekran, ożywiony co prawda feerią barw, lecz nie wydzielający zrozumiałego dla nas obrazu. Nie widniały na nim morza, góry czy polarne czapy; brakowało również chmur i lasów. Było natomiast miasto. Pokrywało całą powierzchnię planety – ogromne, puste, niepojęte. W tej gigantycznej metropolii nikt nie mógł mieszkać, wiedzieliśmy o tym już wcześniej z danych dostarczonych przez automatyczne sondy. Powierzchnię planety tworzyły wyłącznie niedające oparcia półkule, łuki, kanały wentylacyjne i tunele. Na Enigmie nie zbudowano dróg ani chodników, potężne pałace nie zostały wyposażone w posadzki, po których dałoby się stąpać, wysokie wieże okazały się wydrążonymi walcami. Nie istniały tu również pokoje, biura, balkony, okna bądź schody. Ponieważ materiał, z jakiego wzniesiono miasto pochłaniał fale radiowe, kontakt z naszymi próbnikami ustał, gdy tylko zagłębiły się na ponad milę w jaskinie i głębokie kominy.

Sama planeta również pełna była sprzeczności. Atmosfera Enigmy składała się w stu procentach z tlenu, o czym teleskop Hawkinga dał znać już w kilka godzin po jej odkryciu. Obecność tego pierwiastka wydawała się gwarancją istnienia życia. Czysty tlen wchodzi w reakcje z większością pozostałych pierwiastków, więc nie ma możliwości, by utrzymał się gdziekolwiek zbyt długo pod nieobecność odnawiających jego zasoby roślin. Dlatego też nikt nie miał najmniejszych wątpliwości. Enigma musiała stanowić przyczółek życia. I wówczas dokonano kolejnego, tym razem zupełnie nieoczekiwanego odkrycia. Spektrometry wskazały, że w atmosferze planety nie ma śladów wody i dwutlenku węgla, które również stanowią istotne elementy cyklu życia wszystkich organizmów, przynajmniej takich, jakie znamy z Ziemi. Tlenowa atmosfera i brak życia. Tego nie dało się pojąć.

Szumu radiowego nie wykryto, lecz interferometria ukazała na powierzchni coś przypominającego rozległe, zabudowane tereny. Istnienie budynków przy jednoczesnej obecności czystego tlenu sugerowały istnienie wysoko zaawansowanej cywilizacji, która przekroczyła już fazę elektroniki i wyrosła również z okresu przemysłowego zanieczyszczania środowiska. Najwyraźniej zatem po prostu nie rozumieliśmy natury obcego życia. To dało Ziemi nadzieję. Mieszkańcy Enigmy pokażą nam, jak zarządzać światem; zapewne już dawno temu posiadli wszystkie potrzebne ludzkości odpowiedzi. Teraz jednak, kiedy wreszcie tutaj dotarliśmy, tajemnic zaczęło przybywać, a wciąż jeszcze nie rozwiązaliśmy ani jednej.

Andrean był częściowo wilkiem i dowódcą łodownika „Cumulus”. Nasz piątko aż do śmierci miała dzielić ze sobą niewiększe od ciasnego mieszkania wnętrze pojazdu. To jednak nie był poważny problem. Wiedzieliśmy, że nie będziemy żyć długo.

Ja byłem po trochu szczurem. Pozostała trójka nosiła w swym kodzie genetycznym fragmenty DNA teriera. Wilk samiec-alfa, ultralojalna sfera i ja – outsiderka. Sporządzony przez kogoś komputerowy model wykazał, że taki właśnie zestaw osobowości złoży się na prawie doskonałą ekipę badawczą.

– Niedobrze, że nasza kolej wypadła tak wcześnie – stwierdził

Andrean, gdy czekaliśmy na odpowiedni moment do startu.

W jego tonie dało się usłyszeć pewną dozę przygnębienia. Zrozumiałam, że dowódca nie lubi podejmować ryzyka i była to krzepiąca wiadomość.

– Nie wydajesz się szczególnie zadowolony – zauważyłam.

– Mądra jesteś, Szczurzyco Kerris. Układ planetarny Enigmy nie ma żadnego znanego odpowiednika. To mnie martwi.

– Jak to? Przecież odkryto dziewięć innych układów posiadających dwa gazowe olbrzymy i pojedynczą planetę skalistą.

Zostaliśmy zaprojektowani w ten sposób, by móc wchodzić w spory i zarazem nie rzucać się sobie do gardeł. To właśnie zalecała aktualna teoria dynamiki grupowej. Ponadto byliśmy dla siebie z lekka odstręczający seksualnie, co upraszczało wzajemne relacje.

– Nie w tym rzecz, ktoś tutaj bał się uderzeń meteorów. Układ Enigmy został skonfigurowany tak, by planeta trwała jak najdłużej.

– Skonfigurowany? Kto mógłby skonfigurować cały układ?

– Owszem, to rzeczywiście świetnie postawione pytanie, ale wskazują na to dowody. Gazowym olbrzymom nie towarzyszą tu pierścienie ani księżyce, brakuje asteroid, komet czy nawet mniejszych meteorów. Procentowa zawartość pyłu kosmicznego wewnątrz układu równa się tej w przestrzeni międzygwiazdnej. A sama Enigma krąży po takiej orbicie, że nawet kiedy jej gwiazda przeobrazi się ostatecznie w czerwonego olbrzyma, planeta pozostanie nietknięta.

Tak, wiedziałam o tym wszystkim już przedtem, lecz mnie to nie niepokoiło. Wilki cierpią na paranoje odmienne od szczurzych, ponieważ szczury spędzają w stanie zagrożenia całe życie. Szczury trwały w cieniu bardziej rozwiniętego gatunku odkąd ludzie ewoluowali z małp, podczas gdy wilki nadal żyją samotnie, w dziczy.

We wszystkich sześciu tysiącach układów planetarnych zbitych przez teleskop Hawkinga wykryto obłoki Oorta. Układ Enigmy stanowił pod tym względem jedyny wyjątek. Ponadto galaktyczna orbita gwiazdy nie miała zaprowadzić jej w okolice obłoku innego systemu przez najbliższe sto milionów lat, być może nawet dłużej.

Ładownik lekko szarpnął, oderwał się od „Turinga” i rozpoczął powolny upadek ku zewnętrznym warstwom atmosfery.

– No dobrze, więc ktoś świadomie ten układ wysprzątał – powiedziałam. – I co z tego? Przecież my, ludzie, zrobiliśmy z niebezpiecznymi asteroidami w swojej własnej okolicy dokładnie to samo.

– Szczurzyco Kerris, układ Enigmy został oczyszczony w promieniu dwóch lat świetlnych. Zastanów się nad tym. Pi razy ten dystans do kwadratu daje ponad dwadzieścia pięć sześciennych lat świetlnych. Jaka potęga mogła dokonać czegoś takiego? Samo tylko wysłanie „Turinga” na Enigmę wymagało od ziemskich fabrykatorów orbitalnych trzech dekad pracy niemal pełną mocą.

– Wyraźnie chcesz mi coś powiedzieć.

– Mam obawy, Szczurzyco Kerris. Czy nie sądzisz, że budowniczy, którzy zadali sobie tyle trudu, by uchronić Enigmę od zderzenia z innym ciałem niebieskim, mogli również pozostawić powierzchniowe zabezpieczenia, mające strzec planetę przed

PONIEDZIAŁKOWY MNICH

(Monday's Monk)

JASON SANFORD

Somchai wciąż spokojnie śpiewał, gdy ciało *Nong Tam* zadrżało po raz ostatni – płomienie rzuciły migotliwy blask wysoko pod niebo, zwęglona woń mięsa jego najlepszej przyjaciółki tańczyła na wietrze. Mnich siedział tak blisko stosu pogrzebowego jak tylko mógł, intonował kolejne buddyjskie sutry, pocąc się pod wędną od żaru pomarańczową szatą.

W miarę jednak jak z jego ust padały kolejne święte słowa, Somchai uświadomił sobie stopniowo, że nie jest w stanie szczerze medytować nad wielością aspektów szlachetnych prawd. Zamiast tego zdjęty zgrozą wpatrywał się w podskakującą i szarpiącą się w płomieniach Tam. A przecież była martwa! Przecież umarła już wcześniej! Jej ciało pocięto na tak wiele kawałków, iż bardziej przypominała dziecinną układankę, niż przemijające naczynie, znane niegdyś jako *Boomtam Teeravit*.

Życie jest cierpieniem – wspomniał, próbując się zachować jak na buddyjskiego mnicha przystało, mimo że w głębi serca czuł się w tej chwili bardzo od tego wzorca daleki.

A ona nadal wymachiwała nogami. I wciąż bezgłośnie wrzeszczała. Dopiero po chwili, nagle, jakby za naciśnięciem przycisku, szamotanina na stosie ustała i szalały już tylko płomienie.

Somchai musnął palcami leżące mu na kolanach resztki świętej nici *sai sin*, którą związano odcięte dłonie Tam, dzięki czemu mogła przytulić do piersi kwiat lotosu. Nie widział jej od lat, był wręcz przekonany, że dziewczyna nie żyje – lub że uciekła do jednego z tych chłodnych krajów w rodzaju Nowej Zelandii, w których nadal dopuszczano stosowanie nano – lecz pewnego dnia Niebiescy przywieźli na cmentarzysko jej ciało.

Od razu zrozumiał, że milicjanci go sprawdzają. Chcieli się przekonać, czy oprotętuje śmierć przyjaciółki. Testowali, czy pozostaje obojętny na ich walkę.

Pomimo to Niebiescy okazali Tam szacunek. Ułożyli dla niej stos pogrzebowy z najlepszego, leżakowanego drewna, by płomienie nabrały odpowiednio wysokiej temperatury i szybko strawiły zwłoki. Złożyli jej ciało w całość i przebrali w białą szatę, po czym ozdobili czoło dziewczyny wianuszkami białych kwiatów. W ostatnim honorowym geście *Seh Náam*, budzący grozę przywódca niebieskiej milicji, osobiście ułożył odciętą głowę Tam w taki sposób, by spoglądała na siedzącego przed nią i śpiewającego Somchaia.

Kiedy ujrzała na nim pomarańczową szatę, piękną twarz Tam rozjaśnił uśmiech. Próbowła coś powiedzieć, lecz spomiędzy jej warg nie wydostał się żaden dźwięk; miała przecież rozcięte gardło. Posłała mu więc po prostu niemy pocałunek i zamknęła oczy, nasłuchując zaśpiewów mnicha, dopóki nie eksplodowały wokół niej płomienie.

Mimo że Somchai rozumiał, że emocje są jedynie ułudą, widok cudownych oczu Tam wstrząsnął nim jak błyskawica wstrząsa burzowym powietrzem. Będąc na powrót tak blisko niej, poczuł szczęście, jakkolwiek krótkotrwałe miało się okazać. Zadowolenie, ponieważ przyjaciółka przekonała się, że naprawdę został mnichem. Smutek z powodu jej bolesnej śmierci. I samotność.

Samotność ponad wszystko inne.

Bo teraz Tam odeszła już na dobre.

#

Zazwyczaj, póki stopy pogrzebowe nie zmieniały się w węgiel, Somchai medytował o przemijaniu. Dzisiaj jednak nie potrafił ukoić myśli. Skończywszy śpiewać, poszukał swoich kościanych grabi. Chciał przesiać popioły, by upewnić się, że wszystkie części ciała Tam spłonęły doszczętnie.

Grabi jednak nie było tam, gdzie je zostawił, czyli w olbrzymim cieniu świątynnego drzewa bo. *Seh Náam* trzymał je w dłoniach.

– *Than Jaan* – zaczął, posługując się skróconą wersją zakonnego nazwiska Somchaia, które brzmiało *Phra Wan Jaan*. – Wiesz, że zanim ktokolwiek poruszy żar, ogień musi całkowicie wygasnąć. Wcześniej nano wciąż jest niebezpieczne. Jeżeli zechcesz chwilę poczekać, będzie dla mnie zaszczytem podzielić z tobą ów obowiązek.

Somchai przytaknął nieznacznym skinieniem. Nie byłoby mądrze sprzeciwiać się szefowi Niebieskich.

Seh Náam był mężczyzną wysokim i smukłym, nawet w siódmej dekadzie życia, jego zacięta, naznaczona zmarszczkami twarz opowiadała o wierze w mięśnie i siłę każdemu, kto śmiał mu spojrzeć prosto w oczy. Miał na sobie granatową koszulę i spodnie prostego, tajskiego chłopca. Stopy obuwał w zgrzebne sandały, wycięte z samochodowych opon. Organizując oddziały Niebieskich, *Seh Náam* wybrał dla nich taki rodzaj uniformu, by podkreślić, że jego ruch zdecydowanie odrzuca świat przyniesiony ludziom przez nanotechnologię. I mimo że Niebiescy kroczyli po polach Tajlandii pałac i zabijając już od pięciu długich lat, tego aspektu czystości nie stracili. Wszyscy siedzący wokół świątyni milicjanci – mnich naliczył ponad dwudziestu – ubrani byli w identyczne, granatowe ubrania.

– Zaimponowałeś mi – odezwał się cicho *Seh Náam* i gestem zaprosił Somchaia, by się z nim przespacerował. – Kiedy zabilismy *Boomtam Teeravit*, niektórzy sugerowali, że nie oprzesz się pokusie. Że będziesz błagać o ocalenie jej życia, nawet po śmierci.

Somchai po raz kolejny ujrzał w duchu wpatrzoną w siebie odrąbaną głowę Tam. Jej uśmiechające się do niego usta.

– Pewien odłam myśli buddyjskiej sformułował zasadę brzmiącą: jeżeli spotkasz na drodze Buddę, zabij go. W przeciwnym razie człowiekowi grozi wieczne uwięzienie w cyklu narodzin i śmierci.

Seh Náam się uśmiechnął.

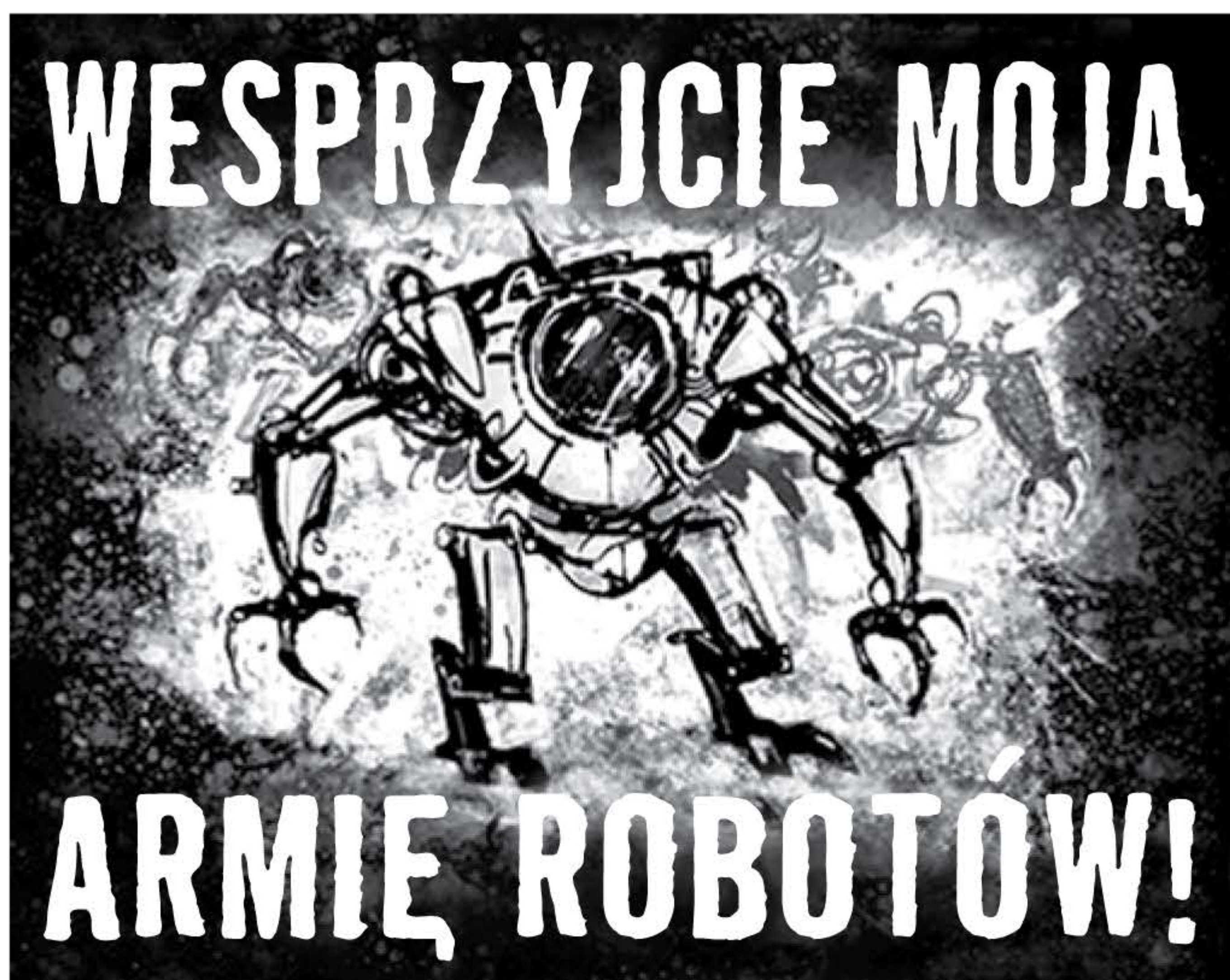
– Proszę bardzo, o ile tylko nie zaczniesz się kłać realnym zabijaniem. To zostaw nam.

– Prawdę mówiąc, myśl o tym niekiedy mnie obsesyjnie nadozdi. Głowa Tam, ona się do mnie uśmiechnęła. Zanim dosięgły ją płomienie, chciała mi coś powiedzieć. A potem tylko krzyczała, jakby w wielkim bólu.

Usta *Seh Náama* ponownie rozciągnęły się w uśmiechu; w wygłodniałym, tygrysim grymasie, który wcale nie miał Somchaia uspokoić.

WESPRZYJCIE MOJĄ ARMIE ROBOTÓW!!!

DOKTOR CRUSHAMOUS



81

wspierających

Czas do zakończenia:

0 sekund

Zebrano

6655.00\$

z planowanych

40 000 000 000\$

Projekt nieudany

Ta zbiórka zakończyła się nie osiągając wymaganego poziomu wpłat.

Czas trwania zbiórki: **1 do 30 września 2013**

CELE PROJEKTU

Jeszcze dziesięć lat temu szalony naukowiec z wizją mógł wyżyć z pieniędzy otrzymanych za pomniejsze wynalazki i zebrać fundusze pozwalające na wprowadzenie jego (albo jej) prawdziwych planów w życie.

Niestety, te czasy już minęły, choć mój ojciec, z typową dla siebie głupotą twierdził, że nigdy ich nie było. Aż do ubiegłego roku znano go jako doktora Cetaceux, kiedy to jego zmutowane mieczniki, zatrudnione w charakterze służących, zbuntowały się przeciwko otrzymywaniu wynagrodzenia w postaci tuńczyków drugiej kategorii i zwróciły się przeciwko niemu. Och, jak wrzeszczał, kiedy miotały nim niczym długą, kościstą foką... Ale odbiegam od tematu. Twierdził, że wraz z matką żyli zawsze w biedzie i że młodym talentom nigdy nie było łatwo się wybić. BZDURY! Kompletne bzdury – dlaczego w takim razie wynalazca banalnego promienia odmładzającego mógł przez długie lata opływać w dostatki w opuszczonym zamku w Alpach? Teraz takie gadżety są produkowane masowo przez Beauticience Incorporated.

Od dzieciństwa miałem ukrytą obsesję na punkcie robotów. Wedle słów mojej matki – znacie ją jako doktor Electronautię – w wieku czterech

KOLEJNE PIWO DLA SZCZENIAKA W KOJCU (2)

MACIEJ PAROWSKI

metabolizm, że inaczej nie usłyszysz głosu Boga. Huberath odwrotnie, zawsze starczy powodów, by afirmować wiarę, ostatnio z wykorzystaniem stale pogłębianej wiedzy o sztuce. Szyda woli ewangelizować wspierając się odkryciami prozy nowoczesnej, awangardowej. Grześkowi Januszowi do badania religijnych dylematów starczą miniatury literackie, klasyczne shorty.

Sapkowski otworzy nas na narracyjne raje, pokáže bohaterów jak się patrzy, a na marginesach historii herosa z mieczem na plecach dowiedzie piekielnej erudycji. Ale raz na sto stron, żeby nie wiem co, musi upomnieć się o furtkę dla kobiety w kłopotach w murze zasad spisanych w przysiędze Hipokratesa.

Lewandowski nie spocznie póki nie pokaże, że może uprawiać każdy rodzaj fantastyki, a tym, którzy mieli go za gburę mignie przed nosem papierem patentowanego filozofa. Twardoch lubi wyrwać Polaka z lechickości i srogo zeń zadrwić. Otóż, wbrew temu, co nam się roi, wybór między Piłsudskim a Dmowskim nie jest jedyny, bo Szczepan poznał w dzieciństwie takich, co się spierali o wyższość Hitlera nad Bismarckiem. Albo odwrotnie.

Ewa Białofłocka pochyli się na słabym i ułomnym, żeby dać mu szansę bycia wszechmocnym. Ania Brzezińska zagra na nosie tym, którzy walczyli o prozę rozrywkową i tym, co problemową (jak niżej podpisany), bo okazuje się dobra w obu rodzajach skierowanych do różnych publiczności. Magda Kozak daleko nie zajędzie bez kobiecej postaci z giwierą. Rafał Ziemkiewicz bez wizji świata nieprawdopodobnie cyniczną grą wpływowego dziennikarza z wielkiej gazety i jemu podobnych politycznych kameleonów.

Oramus nie napisałby swych klasycznych powieści science fiction, gdyby mu zabroniono pomieścić w nich bohaterów wariatów, którzy wylamują się

z ramek Lemowskiej funkcjonalnej psychologii. Baraniecki podobne opowieści rozsądza wiarą w świeckie, fizyczne cuda, od których trzeszczą dogmaty materializmu, obowiązujące w polskiej SF jeszcze na początku lat 80.

Młoda kandydatka na autorkę długo odbijała się od „NF” z napuszonymi cegłami fantasy, zero myśli własnej, drewniane postaci, same fabularne powtórki. Aż kiedyś w rozpacz wyznała, że jest lesbijką. To co ja robię, patentowany katol, przeganiam ją ze świątyni literatury? A skąd! Dziecko, wołam, z nieba mi spadłaś, jesteś pierwszą lesbijką w moim życiu, gadaj jak to jest. I zadziwiająco szybko dostaję opowiadanie, nie żeby genialne, ale trzymające gatunkowe parametry i na tle poprzedniego żalostnego błędzenia dobrze poukładane, nawet dowcipne.

Każdy musi co innego, choć nie zawsze wie, co. Najgorzej, kiedy da sobie wmówić, że nie wszystko mu wolno. Otóż wolno. Autorze, zerkający ku niebu – nie musisz pisać heteroseksualnie, masz pisać dobrze!

*

Zdrowy małż nie rodzi perły – powiedział Lech Jęczynek przy okazji rozważań nad życiem i dziełem Philipa K. Dicka. To dobra teoria. Literatura bierze się z wewnętrznej udręki, z fizycznego cierpienia, z niewyśpiewanych zaszłości, z niewyrównanych rachunków krzywd, z kłamstw, które trzeba odkręcić. Z białych plam domagających się wypełnienia. Pisarz, jako męczennik, odkupiciel.

Ale to nie jest teoria jedyna, bo literatura bierze się także z zachwyty, z niczym nieporównywalnej radości, z wielkiego uznania. Być podobnym demurgiem jak uwielbiany Mistrz, stwarzać jak on cudowne światy, dać innym porównywalne szczęście – to już nie jest narcystyczne chciejstwo gówniarza w kojcu, lecz godne twórcze marzenie. I to mnie łączy z czwartą generacją, z której liderami dłu-



go i niepotrzebne byłbym skonfliktowany. Tak jak reżyserzy Kina Nowej Przygody, którzy zakochani w kinie swojej młodości, chcieli robić podobne filmy, tak nasi młodzi pragnęli pisać taką prozę, jaką uwielbiali czytać. Ale w końcu i tak robili, co innego. Sam też marzyłem – o rzeczach w stylu Conrada, Grahama Greene'a, Borgesa, Chandlera. Przecież Dicka odkryłem późno, po trzydziestce, Orwell był wcześniej. Tolkiena nie rozgrzyłem do dziś, bo to, co młodzi brali z „Władcy pierścieni” ja czerpałem z Sienkiewicza i Karola Maya – z Trylogii i „Winnetou”. Jasne, lubię adaptacje Jacksona, ale więcej miałem radości z esejów Tolkiena, niż jego prozy.

*

A więc literatura, jako wynik zapałtrzenia, pozostawia pod wpływem? Prawie każdy hołubi jakieś dzieła i podziwianych autorów jako punkty odniesienia. Zdaje przed swymi guru egzamin, oddaje im hołd. No i często, choć bywa że tylko on, rozpoznaje we własnym pisaniu ślady tego zauroczenia.

Niektórzy mówią wprost. Twardoch o Sandorze Maraiu. Adam Wiśniewski-Snerg o Kafce, co miałem za próżne gadanie, póki nie dostrzegłem psychologicznego podobieństwa nawet na poziomie języka, pełnej wątpliwości narracji; tu i tam są światy wymykające się bohaterom. A z innej strony – Snerg i Baraniecki, autorzy, o których się mówiło, że przełamali model prozy Lemowskiej, deklaruwali się przecież jako uczniowie jego książek. Także Dukaj, toteż kiedy na Pyrkonie 2011 Rafał A. Ziemkiewicz próbował Lema pomniejszać, Jacek warknął. Nigdy go takim nie widziałem, a RAZ się cofnął, choć to się praktycznie nie zdarza. Bywa, że uczeń przerosł mistrza, starczy porównać „Hermana i Dorotę” Goethego z kongenialnym „Panem Tadeuszem”.



Głowy z lamusa

czyli naukowcu powiedz przecie...



Agnieszka
Haska



Jerzy
Stachowicz



Nasi pradziadowie nie musieli odwoływać się do fusów, układów gwiazd czy dat urodzenia – aby odczytać cechy charakteru i przyszłe losy, wystarczyło dłużej popatrzeć we własne oblicze i odpowiednio je zinterpretować.

Oto przykłady z anonimowej broszurki z 1900 roku: *Twarz mięsista rzadko kiedy bywa właściwą ludziom uzdolnionym, wielka głowa zdradza stan chorowity, mało szczęścia w życiu, zato pilność i zapobiegliwość, zaś oczy otoczone brwią wąską i słabą, z bardzo długimi rzęsami są oznaką słabości cielesnej w połączeniu z temperamentem melancholijnym.* Fizjonomika i frenologia zaprzętały także umysły poważnych naukowców.

Szeroko rozwarte oczy zdradzają złośliwość

Fizjonomiką zajmowali się m.in. Arystoteles, Pitagoras, Cyceon i Seneka Młodszy. W średniowieczu i renesansie odczytywanie znaków na twarzy łączono nie tylko ze zwierzętami, ale także z chiromancją i układami gwiazd. W XVI wieku **Giovan Battista della Porta** popisał dzieło „Humana physiognomonica”, zawierające mnóstwo rycin pokazujących m.in. twarze sów, orle, bycze i ośle. Z kolei **Girolamo Cardano** szukał związku między układami zmarszczek na czole a układami gwiazd oraz metalami alchemicznymi. Popularność fizjonomiki zaniepokoiła Kościół katolicki; w 1559 roku papież Paweł IV wpisał dzieła jej dotyczące na listę ksiąg zakazanych. Byli jednak tacy, którzy papieskim zakazem nie musieli się przejmować, m.in. pastor kalwiński **Johann Caspar Lavater**, który zawarł swoje przemyślenia w „Physiognomische Fragmente zur Beförderung der Menschenkenntnis und Menschenliebe”, zilustrowane przez gdańskiego artystę Daniela Chodowieckiego. Lavater analizował twarze ludzi z różnych stanów społecznych, wskazując bezdyskusyjne różnice między szlachtą, chłopstwem a zbrodniarzami oraz pulchnymi obliczami sangwiników a wklęsłymi, zapadłymi facjatami melancholików.

Nadchodziła jednak epoka szkiełka i oka, a z nią coraz bardziej wyrubowane naukowe wymagania. Świat naukowy podzielił się na dwa obozy – tych, którzy wyśmiewali wnioskowanie o cechach charakteru na podstawie zmarszczek i małych nosów oraz tych, którzy twierdzili, że rzecz ma

wielki potencjał. Na bazie fizjonomiki zaczęły powstawać nowe pomysły na interpretację nie tylko twarzy, ale całych głów. Pod koniec XVIII wieku austriacki neurolog **Franz Josef Gall** i jego współpracownik **Johann Spurzheim** opracowali podstawy **frenologii**, według której kora mózgu dzieliła się na odrębne części odpowiadające za różne zachowania lub funkcje psychiczne, a im bardziej dana cecha dominowała, tym kawałek mózgu za nią odpowiedzialny musiał być większy. W ten sposób osoby posiadające dużo przyjaźni, mordercy – guz w miejscu ośrodka destrukcyjnego, tuż nad uchem, a lingwiści wielkie worki pod oczami. Dodatkowo zakładano, że cechy osobowości są dziedziczne. Wystarczyło zatem z odpowiednią wprawą pomacać czaszkę, aby dowiedzieć się o danej jednostce wszystkiego.

Nosy na dół zwieszone jak perpendykuł u zegara

Frenologia w I połowie XIX wieku święciła absolutne tryumfy; wystarczyło kupić jedną z dostępnych powszechnie broszurek z opisami mózgu i można było przystąpić do samodzielnego macania lub towarzysko pomacać innych. Wydana w 1828 roku książka założyciela Edynburskiego Towarzystwa Frenologicznego, **George'a Combe'a**, pt. „The Constitution of Man” w ciągu trzydziestu lat sprzedała się w 300 tysiącach egzemplarzy, co ponoć czyni ją jednym z czterech bestsellerów tego okresu (po Biblii, „Wędrownym pielgrzymie” Johna Bunyana oraz „Przypadkach Robinsona Cruzoe” Daniela Defoe). Także wyższe sfery uwierzyły w prawdziwość frenologicznych metod; ponoć królowa Wiktoria i książę Albert wezwali Combe'a do badania czaszek ich dzieci. Frenologiczne dowody wykorzystywano w sądach, a popularnością cieszyło się „czytanie” czaszek przed zawarciem ślubu, aby sprawdzić, czy przyszły małżonek nie okaże się np. psychopata. Niektórzy zwolennicy

NAGRODY CZYTELNIKÓW

„NF” 2013

Zapraszamy do udziału w głosowaniu,

które wyłoni najlepsze – Waszym zdaniem – teksty literackie i publicystyczne opublikowane na łamach „Nowej Fantastyki” oraz „Fantastyki – Wydania Specjalnego” w roku 2013, oraz ulubionego rysownika i najładniejszą okładkę „NF” i „FWS”. Autorzy wyróżnionych przez Was utworów oraz rysownicy, którzy zbiorą najwięcej głosów, zostaną uhonorowani Nagrodami Czytelników „Nowej Fantastyki”.

Głosować prosimy do końca stycznia 2014 roku w ankiecie pod adresem:

www.fantastyka.pl/plebiscyt

W każdej kategorii typujemy tylko jedną zwycięską pozycję:

1. Najlepsze opowiadanie polskie.



2. Najlepsze opowiadanie zagraniczne.



3. Najciekawszy tekst publicystyczny
(artykuł, felieton, wywiad itd.).

4. Ulubiony rysownik.

5. Najładniejsza okładka „NF” i „FWS”
(przypominamy je obok).

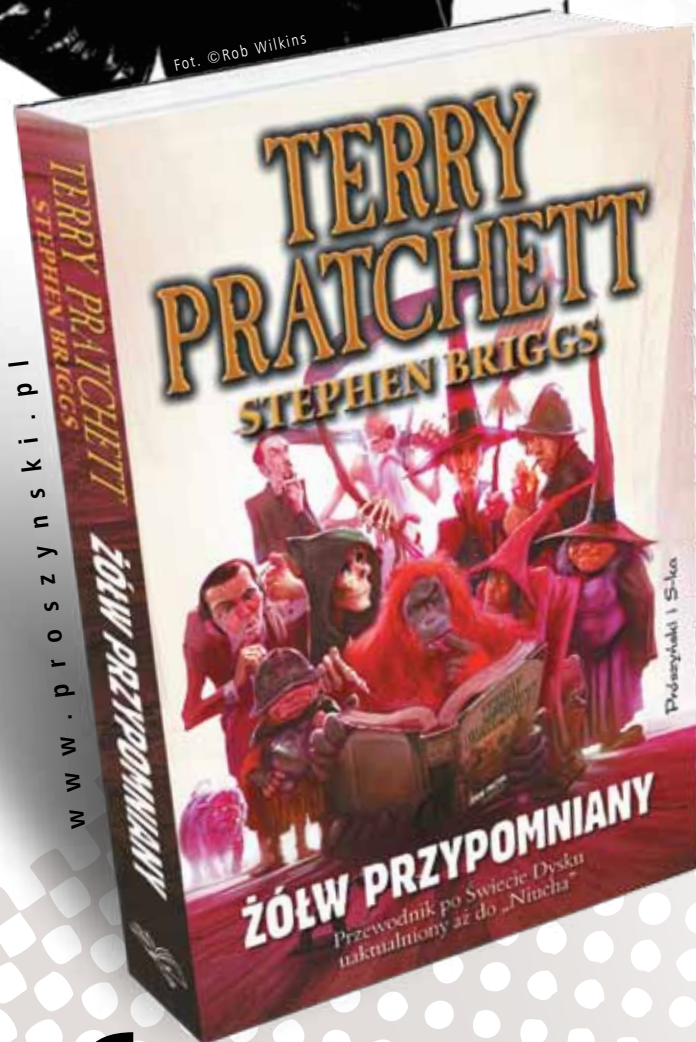


Wśród uczestników głosowania rozdysponujemy nagrody – 30 książek ufundowanych przez wydawnictwo Prószyński Media.





witajcie w Świecie Dysku Terry'ego PRATCHETTA!



**Terry Pratchett
Stephen Briggs**

ŻÓŁW PRZYPOMNIANY

**PRZEWODNIK PO ŚWIECIE DYSKU
UAKTUALNIONY AŻ DO „NIUCHA”**

Jedyny oficjalny przewodnik po wszelkich dyskowych tematach. Jeśli więc szukasz pewnego źródła wiedzy o prawdopodobnie najgęściej zaludnionej, a na pewno najzabawniejszej lokalizacji w literaturze fantasy... Jeśli potrzebujesz wygodnego przewodnika po ważnych miejscach Świata Dysku, od Ankh-Morpork po Zemphis – jeśli masz trudności z odróżnianiem Ahmeda Szalonego od Jacka Zweiblumena – jeśli twoje życie zależy od orientacji, czy trafiłeś do Imperium Agatejskiego, czy do Zoo-nów... nie szukaj dłużej!



Uwaga! Promocja jakich mało!

**40% RABATU
NA ZAKUP KSIĄŻEK
TERRY'EGO PRATCHETTA**

Tylko na www.proszynski.pl

Tylko do 31.01.2014

Tylko na hasło: Pratchett